

# Ryszard Wierzbowski

---

## Tło do portretu Profesora : z rozmów, dokumentów, refleksji

---

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 41, 5-21

---

1985

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

RYSZARD WIERZBOWSKI

## TŁO DO PORTRETU PROFESORA

Z rozmów, dokumentów, refleksji

W 1984 r. przypada siedemdziesięciolecie urodzin prof. dra Zdzisława Skwarczyńskiego. Mija też czterdzieści pięć lat od jego naukowego debiutu, a jednocześnie trzech innych okrągłych rocznic, wiążących się z faktami już bliższymi, bezpośrednio doniosłymi dla polonistycznego środowiska historycznoliterackiego Łodzi, wyznaczają: nominacja profesorska sprzed trzydziestu lat oraz objęcie przed piętnastu laty kierownictwa Katedry Literatury Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego i naczelnej redakcji „Prac Polonistycznych”. Uniwersytecka praca Profesora rozpoczęła się jednak jeszcze wcześniej, czterdzieści siedem lat temu, działalność zaś na Uniwersytecie Łódzkim, podjęta dokładnie w wieku trzydziestu jeden lat, wyprzedziła dekret Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej z 24 maja 1945 r. zatwierdzający istnienie UŁ jako państwowej szkoły akademickiej.

Zdzisław Skwarczyński urodził się 15 lutego 1914 r. w Łodzi jako najstarszy z trzech synów Antoniego (1890–1968) i Bronisławy z Urbańskich (1892–1980). Najmłodszy brat zmarł w dzieciństwie, podczas pierwszej wojny światowej, drugiego, Henryka, hitlerowcy wywieźli do obozu koncentracyjnego w Mauthausen, gdzie został rozstrzelany 11 listopada 1940 r. Antoni Skwarczyński, stolarz i cieśla, pochodzący z okolic Kłobucka, wywodził się z rodziny silnie związanej z ruchem robotniczym (szlacheckiej, ale niezamożnej, a od dwóch pokoleń wręcz bezmajątej) – jego ojciec i siostra należeli do SDK PiL, on zaś wstąpił we wczesnej młodości do Polskiej Partii Socjalistycznej. Członkostwo to zresztą szczęśliwie nie zostało wykryte, gdy jeszcze na fali wydarzeń rewolucyjnych aresztowano go w 1907 r. w Częstochowie. Władze rozpoznały istotę działań zatrzymanego i ową przynależność dopiero po nieopatrzonym wypuszczeniu go z aresztu, toteż dar wolności salwować musiał nagłą ucieczką, podjętą razem z współtowarzyszem omyłkowego zwolnienia. Po nielegalnym przekroczeniu granicy za-

wędrowali oni aż do Halle w Niemczech. Na obszarze Śląska i Saksonii uciekinierom sprzyjała żywa wciąż tam pradawna, sięgająca średnio-wieczna, organizacja zawodowej samopomocy rzemieślniczej: peregrynujący fachowcy, za odpracowanie kosztów u majstra odpowiedniej specjalności, znajdowali schronienie i wikt w stosunkowo gęsto roz-sianych cechowych herbergach. Carski aparat ścigania nie działał wobec zbiegów zbyt wytrwale ani dalekosiężnie. Zgłosiwszy się u rosyjskiego konsula w Lipsku jako zarobkujący dotąd za granicą i otrzymawszy pozwolenie na powrót do Królestwa, przyjechali do Łodzi, którą młody rzemieślnik i działacz wybrał na miejsce stałego osiedlenia się.

Wybuch wojny światowej sprawił, że rodzina Skwarczyńskich w pół roku po urodzeniu się syna wyjechała stąd na wieś w okolice Skierniewic, w pobliże Rogowa i Jeżowa. Powrót nastąpił na początku 1919 r. wkrótce po rozbrojeniu Niemców, w czym należący do Polskiej Organizacji Wojskowej Antoni Skwarczyński wziął czynny udział. W owe strony, z których pochodziła matka, Zdzisław Skwarczyński wyjeżdżał miał też i później, w latach 1923 – 1927, na wakacje. Dzięki temu w okresie dzieciństwa żył się na dobre z folklorem – pieśniami, przysłowiami, baśniami – nie tylko w Łodzi lecz również tam. Matka doskonale знаła i odtwarzała patriotyczną melikę całego okresu rozbiorowego aż po najnowszą, legionową, a także pieśni religijne i miłosne, zwłaszcza miejscowe, rawskie. Zdzisław Skwarczyński zetknął się też wtedy z tradycją dalszą, polsko-białoruską, przeniesioną z Nowogródzczyzny dzięki małżeństwu rogowskiego gajowego (wyposażonego zresztą w zasobne, dwudziestohektarowe gospodarstwo rolne), u którego mieszkali przybysze z Łodzi. Był on szlachcicem, a więc i na żonę, jak tego wymagał jeszcze wtedy na wsi stanowy obyczaj czy przesąd, wyszukano mu również szlachciankę, pochodzącą z tamtych właśnie, wschodnich terenów. Gejzerem wątków folklorystycznych typu facejonistycznego okazał się przemieszkujący nieopodal urzędnik bankowy z Warszawy, niejaki pan Kleszczyński. Dość szybko ujawniło się, że poza literaturą ustną istnieje także drukowana: niejednen z obiegowych utworów miał swe zapisy (zwłaszcza uległe folklorystycznemu wchłonięciu wiersze Kropińskiego, Lenartowicza, a z najnowszych wtedy – Konopnickiej), co przyspieszyło, także dzięki inicjatywie i pomocy siostry matki, stosunkowo wczesną umiejętność czytania (wkrótce nawet w dwóch alfabetach, bo druczki białoruskie, rozpowszechniające np. utwory poety Janki Kupały, korzystały wtedy bądź

z łacinki, bądź z grażdanki) oraz w rezultacie zaowocowało wyprzedzającą lekturą *Pana Tadeusza* w łódzkiej edycji Wiktora Czajewskiego i pamięciowym, tak potem przydatnym a niezwykłym w szkole, opanowaniem wielu partii poematu. (Z inspiracji Profesora powstała później analiza tego wydania w XIII serii „Prac Polonistycznych”, napisana przez Helenę Karwacką.)

Antoni Skwarczyński kultywował zwyczaj głośnych domowych wieczornych lektur książek – wśród ich autorów byli Kraszewski, Orzeszkowa, Sięnkiewicz, Rodziewiczówna, Dygasiński – oraz snucia opowieści o rzeczach zasłyszanych i doznanych, z mnóstwem motywów i wątków wędrownych, dających powód ciągłego kontynuowania narracji oraz zmian tematów, co w znakomity samorodny sposób konstruowało nieprzerwaną łańcuchową gawędę i zarazem obnażało przed słuchaczami sekrety jej poetyki.

Chłonne przedszkolne poznawanie świata z ust dorosłych odbywało się zresztą i poza domowym kręgiem. Ojciec, po PPS i POW czynny również w Związku Zawodowym Kolarzy od momentu jego powstania, zabierał syna na odczyty do siedziby tej organizacji przy ul. Kilińskiego 77. Spotykali się tam i udzielali ludzie nader niekiedy osobliwi i zajmujący, jak choćby stary pepesowiec, nauczyciel Konc, który wciągnąwszy się jeszcze w czasach zaborów w niepodległościową i społeczną pracę partyjną – porzucił po wojnie swój zawód, wówczas przecież ceniony, i nie umiejąc przestać żyć „politgramotą”, poddany całkowicie jej indoktrynacji, został brygadzystą na kolei, by móc skuteczniejsze spełniać środowiskowe zadania działacza.

Szkolnictwo Łodzi, pierwszego miasta w Polsce wprowadzającego wtedy obowiązkowe powszechne nauczanie, borykało się z ogromnymi trudnościami kadrowymi, finansowymi i lokalowymi. Szkoły nierzadko mieściły się w mozolnie wygospodarowanych na ten cel czynszówkach. Zdzisław Skwarczyński trafił do takiej właśnie, przy ul. Złotej 7 – także później miał uczęszczać do szkół w tejże dzielnicy, w której się urodził, rozciągającej się we wschodniej części miasta w wielkim czworoboku ulic: na południu – Rokicińskiej (odcinek stanowiący obecnie ul. Armii Czerwonej), na wschodzie – całej Zagajnikowej (od półwiecza noszącej imię dra Stefana Kopcińskiego, głównego inicjatora i organizatora owej łódzkiej reformy szkolnej), na północy – Pomorskiej (dziś Nowotki), na zachodzie – rozdzielonych główną linią i bocznymi torowiskami Dworca Fabrycznego – Targowej oraz obecnej dra Seweryna Sterlinga

(wtedy Nowotargowej). Dzielnica ta nosiła wówczas nazwę Praga, dziś już zapomnianą i nawet wywołującą w odniesieniu do Łodzi zdziwienie u młodszych mieszkańców miasta.

Rytm praskiej codzienności nadawała przebiegająca środkiem dzielnicy kolej, przekrój kulturowy współtworzyło częste tutaj sąsiedztwo i życie się rodzin polskich i niemieckich, tradycję społeczną – głośne wciąż w dwudziestoleciu międzywojennym echa łódzkich wydarzeń rewolucyjnych z lat 1905 – 1907 i przedłużonego przez carat, do 1909 r., stanu wyjątkowego oraz legendy takich postaci jak Szpruch, Kawczyński czy „Sybirak”, niektóre zgoła odległe zlokalizowane.

Skwarczyńscy mieszkali przy ul. Wysokiej 13, gdzie wśród lokatorów nawet jednej nacji dawały się dostrzec znaczne nieraz odrębności i, na odwrót, podobieństwa i zbliżenia między przedstawicielami obu różnych narodowości. A więc odczuwało się niechęć do Polaków czasem ze strony wrośniętych w społeczność łódzką rodów majsterskich i innych pracowniczych, a skłonności do dobrej komitowyw okazywało napływowe drobnomieszczaństwo, jak np. Schweigertowie. przybyli z Nadrenii, skąd towarzyszył im liczący sto lat kult Napoleona oraz jeszcze starsza muzyka Bacha, wykonywana co niedziela na fisharmonii i głośno rozbrzmiewająca w podwórzu; naprzeciw spożywczego sklepu Schweigertów, po drugiej stronie ulicy, pod numerem 16, podobny sklep prowadziła rodzina Spychalskich, wnosząca w byt ulicy Wysokiej inny przejaw niezwykłego tu standardu w postaci okazu rasowego psa: irlandzkiego owczarka collie i niepokojącą, zwłaszcza okoliczne dzieci, tajemniczość klasowo spolaryzowanego bipaternitatu.

Ów skromny byt, jak wspomina Profesor, typowy dla dzielnicy i domu, które zamieszkiwał przede wszystkim proletariat, cechowała w przypadku lokatorów z Wysokiej 13 i całego pobliskiego otoczenia uderzająca społeczna czystość, wzajemne poszanowanie i godność postawy: nie było tu lumpenśrodowiskowego marginesu – wśród sąsiadów przytrafił się rzecz jasna i alkoholik, ale był to cichy nieszczęśliwiec, mizantrop kryjący się przed ludźmi; ani w kamienicy, ani w jej sąsiedztwie, inaczej niż w wielu dzielnicach miasta, nie zdarzały się burdy ani nie było słyhać awantur.

Właśnie w pobliżu, przy ul. Zagajnikowej 54, wzniesiono w tym czasie jedną z tak potrzebnych Łodzi szkół-pałaców (druga podobna pojawiła się u zbiegu Sterlinga, pod 24 numerem tej ulicy, i Południowej – dziś Rewolucji 1905 roku). Szkoła olśniewała pracownikami, wspa-

niale wyposażonymi, i doskonale zaopatrywaną biblioteką. W szkole powszechnej przy Zagajnikowej uczyli Jan Rudnicki (przybyły z Galicji, zwany „sztywnym Guciem”), Bolesław Kapuściński, panny Kordowskie, gimnastyk Władysław Michałowski i inni warci wspomnienia nauczyciele: Kilański, Kozanecki czy kierownik szkoły, Kazimierz Łuba. Drużynowym harcerstwa był zasłużony i w późniejszych latach dla łódzkiej oświaty, zajmujący się również pisaniem o dziejach miasta, Henryk Dinter. Z około 30 współuczniów-rówieśników z tej szkoły znalazło się w gimnazjum tylko pięciu – i wiadomo, że czterech z nich ukończyło też studia (m.in. biskup Jan Niewieczera, długoletni zwierzchnik Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce i przewodniczący Polskiej Rady Ekumenicznej). Harcerstwo, lektury biblioteczne (w tym czasopism – nawyk ich czytania tworzył się dzięki abonowanym przez szkołę periodykom dziecięcym, przede wszystkim świetnym „Iskrom”) i przebywanie pod różnymi pozorami w budynku szkolnym także poza godzinami lekcyjnymi nie wyczerpywało wolnego czasu. Jednym z nielicznych dodatkowych przyciągających miejsc było ognisko społeczne, prowadzone z ramienia Dzielnicy PPS Łódź-Zielona przez młodzieńczego wtedy aktywistę partii, Henryka Wachowicza, w jednym z narożników ulicy Cegielnianej (obecnie Jaracza) i Sterlinga (naprzeciwko dzisiejszych Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Emfor”, przeciwległe do głównego gmachu Teatru Wielkiego). I tu właśnie pojawiła się na czas informacja o gimnazjum, w którym należało kontynuować naukę. Było to Społeczne Polskie Gimnazjum Męskie przy ul. Pomorskiej 105 (dziś mieści się w tym gmachu VIII LO), założone w 1922 r. przez łódzkie Towarzystwo Krzewienia Oświaty z inicjatywy m. in. znanego gastrologa i propagatora na skalę ogólnopolską szkolnej higieny i lecznictwa (dźwigniętych wtedy na szczytowy, później aż do dziś stale obniżający się poziom – wieloletnim lekarzem szkolnym w SPGM był pplk dr med. Mieczysław Kon, szef wojskowej służby zdrowia podczas obrony Warszawy w 1939 r.), dra Bronisława Handelsmana, oraz polonisty i dyrektora nowo powstałej placówki, którego droga z rodzinnego Nowego Sącza do Łodzi prowadziła przez studia na Uniwersytecie Jagiellońskim i etatową służbę legionową w Piotrkowie (w formacjach tyłowych) w wysokiej randze oficerskiej, pułkownika Ameisen.

Rozpoczęciu nauki gimnazjalnej towarzyszyły dwie podstawowe trudności. Pierwszą spowodowało ponowne wyprowadzenie się rodziny

z Łodzi do odległych o prawie 30 km Koluszek, stwarzające w całym okresie 1929–1933 konieczność codziennych uciążliwych dojazdów pociągiem do Łodzi i z powrotem. W Koluszkach wprowadzono też istniało gimnazjum o niezłej kadrze profesorskiej, nie mogącej jednak równać się poziomem nauczania ani choćby materialnym zapleczem (mimo wydatnej pomocy ZZK, wiele czyniącego dla rozwoju kultury w tym przystajacym miasteczku) ze szkołą w Łodzi. Zdarzało się, że od dojeżdżającego do Łodzi szczęśliwca koluszkowscy koledzy domagali się, nie mając na miejscu znacznej liczby książek, by własnymi słowami prezentował im obowiązujące według programu lektury w rodzaju *Anhellego*. Drugi szkopał stanowiło wysokie czesne (100–110 zł miesięcznie), wnoszone jednak, dopóki wyróżniające się wyniki w pierwszym roku nauki nie umożliwiły uzyskania stypendium na cały jej dalszy czas.

Związki z rówieśnikami z Koluszek zaowocowały dwiema trwałymi przyjaźniami. Jeden z przyjaciół, E. Pluta, zamilowany sportowiec i harcerz, działacz „Wici”, wychowanek łódzkiego Gimnazjum Państwowego im. Mikołaja Kopernika, później wytrzymały samouk, dowódca jednego z plutonów AK na trasie Piotrków Trybunalski – Warszawa, potem bodaj komendant m. Łodzi – zginął w więzieniu gestapo na Sterlinga. Z drugim, Witoldem Wodzinowskim, dziennikarzem i literatem, którego wrzesień 1939 r. zastał na pakach nie rozsprzedanego, zwróconego autorowi przez księgarzy nakładu książki o aneksji Czechosłowacji *Swastyka na Hradczynie*, kontakt w czasie okupacji nie urwał się całkowicie, a z chwilą wyzwolenia doszło nawet do wspólnego uczestnictwa w wydobywaniu książek i innych dzieł kultury z gruzowisk Warszawy – w tzw. akcji pruszkowskiej, kierowanej przez Stanisława Lorentza, w zakresie poszukiwań księgozbiorów publicznych prowadzonej zespołowo przez wielu polonistów, bibliotekarzy i ludzi pióra z Wacławem Borowym na czele.

W książce o współczesnym pisarzu, swoim równolatku, profesor Skwarczyński krytycznie scharakteryzował intelektualny program polskiej szkoły średniej międzywojennego okresu:

W ówczesnej szkole, średniej szczególnie, w jej wyższych klasach, wręcz nieproporcjonalnie i pozbawione korelacji z rzeczywistością miejsce w nauczaniu i kształtowaniu postaw zajmował spadek kulturalny ostatniego wieku, dorobek narodu z okresu ucisku, niewoli i walk o niepodległość. Wynikało to nie tyle z odczucia w owym czasie zagrożenia bytu i z troski o dalsze dzieje narodu. Pod tym względem ewoluowaliśmy ku megalomanii. Odzyskanie niepodległości zostało zrozumiane przede wszystkim jako prosty skutek.

długo i powszechnie oczekiwane, ale bez wątpienia zgodne z prorocत्वami wieszczów zwycięstwo politycznego i społecznego romantyzmu. Romantyzm też i jego różnego czasu pogrobownicy, ich wyolbrzymiana rola, ich skomplikowane przejścia duchowe i spory, omyłki i wybiegi, z mesjanizmem indywidualnym i narodowym na czele, schlebające z konieczności złym nawykom myślowym naszego społeczeństwa w infernalnie trudnej sytuacji podbitego narodu – nadal uważane były za najlepsze wzory, a wyrażająca to literatura za materiał kształcenia.

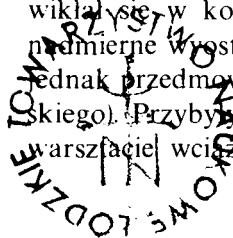
Osobliwe miejsce w procesie nauczania i wychowania zajmował obowiązek nauki religii i nakaz podstawowych praktyk, ugruntowana zależność szkoły i ucznia od – na szczęście raczej rzadko ryzykującego wyzyskanie swych uprawnień w drastyczny sposób – księdza prefekta. Nauka religii – nawet jeśli dogmatykę, podczas której z reguły starsi uczniowie stawiali „niestosowne pytania”, zostawić na uboczu – a zwłaszcza historia Kościoła, w oczywisty sposób kolidowała z idealistyczną wprawdzie, ale świecką wersją dziejów nauczanych w szkole, nie mówiąc już o dyscyplinach ścisłych. [...] Sprowadzano wychowanie do stereotypów [...] Bujnie plenił się frazes bogoojczyźniany.

Tego zachowawczego dziedzictwa ówczesnej szkoły nie dawało się jednak utrzymywać w stanie jałowym, toteż stawało się ono łącno zaczynem ożywczej fermentacji, niszczącej je od podłoża i często gruntownie: wiele szkół wyłamywało się w swojej działalności z takich programowych założeń i z przeciętnej normy. (Osobliwym składnikiem tego zwrotnego sprzężenia był udział w przełamywaniu wpływu „wieszczych tchnień”, płynących od galicyjskiej polonistyki, również przez nauczycieli, zwłaszcza młodszych, będących jej wychowankami.) Właśnie zbiorowość profesorów i uczniów łódzkiego gimnazjum społecznego nie mieściła się w schematycznym obrazie. Po dyr. Ameisenie polonistami Zdzisława Skwarczyńskiego byli prof. Palusiński, a następnie sam Przeclaw Smolik. były przybyszewszczyk, jeden z czołowych animatorów kulturalnego życia Łodzi, inicjator pozyskania dla tego miasta krakowskich zbiorów Juliana i Kazimierza Bartoszewiczów. Język polski w młodszej klasie prowadził, oddziałując jednak na zdolniejszą młodzież całej szkoły dyskretną i tym może skuteczniejszą zachętą do nadprogramowych lektur i analiz, np. wierszy Leśmiana, także przybysz z Krakowa, opromieniony sławą poety drukującego swe utwory w „Skamandrze”, Mieczysław Jastrun. Jako młodszy od tych profesorów pedagog pojawiła się w szkole Stanisława Aletową (ze Stanisławem Więckowskim i Wincentym Tomaszewiczem współzałożycielka Stronictwa Demokratycznego, w Łodzi mającego swą kolebkę). Także i wśród polonistów znajdowała się przez pewien czas nauczycielka – Halina Handelsmanówna, córka współzałożyciela szkoły, późniejsza Józefowa Wittlinowa, mieszkająca obecnie w Nowym Jorku. Znakomi-



tym wykładowcą historii w SPGM był uniwersytecki uczeń Henryka Mościckiego, Tadeusz Landecki, świetnym łacinnikiem – prof. Lewin-kopf-Lenkowski (talent językowy, który zresztą miał okazać się rodzinną cechą, pozwolił mu u progu niepodległości w ciągu kilku miesięcy po przybyciu ze wschodnich terenów opanować do perfekcji polszczyznę i odbyć trudne studium filologii klasycznej), fizykiem – Ludwik Kojrański. Innymi znanymi nauczycielami humanistycznego gimnazjum przy Pomorskiej byli też Hugo Kaufmann i prof. Loba. Rysunków uczył Karol Hiller, utrzymujący wtedy stałe przyjacielskie i zawodowe kontakty z mieszkającymi w Koluszkach i pracującymi w tamtejszej szkole Władysławem Strzezińskim i Katarzyną Kobro – Zdzisławowi Skwarczyńskiemu zdarzało się być pomocnym w tych kontaktach i bodaj przy tej okazji kształtować w sobie nowoczesne upodobania artystyczno-plastyczne. Wśród wychowanków szkoły też oczywiście nie brak było wybitnych indywidualności, z czasem tak szeroko znanych jak Władysław Kędra i Leonid Fokszański, Rafał Praga i Jerzy Pomianowski, Zenon Kliszko (niebywale ambitny prymus swojego rocznika) i Seweryn Bialer. Szyld szkoły, w tym jej kształtującej się politycznej tradycji, tworzyli też synowie znanych w Łodzi ojców: młodzi Rzewscy, syn Stanisława Więckowskiego. W SPGM zetknął się Zdzisław Skwarczyński ze środowiskiem polsko-żydowskim. Jak powstałe znacznie wcześniej, w 1909 r., gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej przy Promenadzie (potem al. Kościuszki 21) – dziewczęta, tak Gimnazjum Społeczne gromadziło bardzo licznie chłopców z rodzin asymilatorskich. Były to grupy pod względem klasowym wtedy już różnorakie, od robotniczych i drobnomieszczańskich po inteligenckie i plutokratyczne, odcinające się od siebie nieraz jaskrawo pod względem stopnia polonizacji oraz postaw wyznaniowych, przy czym cechą wspólną bywała „inteligencność” – swoisty intelektocentryzm, choć nie brakowało pod tym względem wyjątków od stereotypu: sportowców bądź zgoła osiłków, lokujących swe aspiracje głównie, albo tylko, w kulturze fizycznej. W obu kategoriach zarówno tworzyła się więź, jak toczyła emulacja. Ta ostatnia w kategorii g ł ó w n e j oznaczała przede wszystkim nie walkę o oceny, lecz wyścig lektur. Umożliwiały go biblioteki: przede wszystkim najzasobniejsza wtedy w Łodzi Biblioteka Miejska przy ul. Andrzeja 14, w przypadku Zdzisława Skwarczyńskiego również, mimo swych niedostatków, biblioteka i świetlica ZZK w Koluszkach, a także świetlica Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”.

Lektury wykształciły przewagę, choć nie wyłączność, zamiłowań humanistycznych. Na czas ten przypadły też pierwsze poetyckie próby o orientacji, co zrozumiałe już wtedy, awangardowej, i związane z nimi udział w Międzyszkolnym Komitecie „Kuźni Młodych” oraz literacki debiut na łamach łódzkiej prasy. Łącznie wiodło to wyraźnie ku studiom polonistycznym. W 1933 r., po maturze, Zdzisław Skwarczyński wstąpił na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Studia historycznoliterackie odbywał pod kierunkiem Zofii Szmydtowej, Józefa Ujejskiego (na którego seminarium kolegował m. in. z Julianem Lewańskim, Julianem Rogozińskim, Janem Śpiewakiem) i Juliana Krzyżanowskiego. Podjął też studia z historii gospodarczej u Stanisława Arnolda, stykając się na nich z Aleksandrem Gieysztozem i ponownie z gimnazjalnym kolegą, przyszłym nauczycielem historii w szkole przy Domu Sierot Janusza Korczaka, Bolesławem Drukierem. Kontakty seminaryjne były wówczas rozległe ze względu i na tryb i na tok studiów, nie ograniczały się do kolegów ani z obranych głównych kierunków, ani do rówieśników z roku, będącego kategorią zgoła umowną, skoro z 200 studentów, którzy w 1933 r. zapisali się na wydział, studia w przewidywanym wówczas programem terminie czteroletnim ukończyło zaledwie czterech. Wraz z rozpoczęciem studiów uniwersyteckich Zdzisław Skwarczyński podjął pracę zarobkową, poznając wówczas, bezpośrednio po latach wielkiego kryzysu, świat warszawskiej nędzy. Na polu swych historycznoliterackich zainteresowań trafił na troje przewodników wyjątkowej miary, wolnych od stosunku wyznawczego wobec z reguły dotąd konfesyjnie traktowanych wielkości. Zofia Szmydtowa, wprowadzając początkujących studentów w krąg dociekliwych podstawowych lektur i analitycznych kategorii, darzyła ich czułą opiekuńczą uwagą, budząc ważne dla każdego studiującego krzepiące przeświadczenie, że jest dostrzegany i w okazywanych swych wysiłkach indywidualnie doceniany. Profesora Ujejskiego cechował na jej tle znaczniejszy, choć też na wskroś demokratyczny, wolny od wszelkiej wyniosłości, dystans wobec słuchaczy (u Ujejskiego student był w większym stopniu niż u Szmydtowej słuchaczem). Wbrew modzie owych lat prof. Ujejski nie wnikł w konstrukcje metodologiczne, uważając, zdaje się, namierne wystrzanie pojęć, za tyleż arbitralne co daremne (napisał jednak przedmowę do przekładu *Wstępu do poetyki* Wiktora Żyrmunskiego). Przybył z Uniwersytetu Jagiellońskiego, oscylował w swym warszawskiej wciąż jeszcze ku romantyzmowi, lecz odczytywał ich bez



galicyjskiego namaszczenia, ze znaczną niezależnością i z racjonalizmem, z głębokimi rewizjami istoty treści i hierarchii wielu dzieł, krytycznymi wobec wcześniejszej, nie dość wnikliwej i refleksyjnej recepcji. Reinterpretacje *Konrada Wallenroda*, *Marii*, *Kordiana* czy *Anhellego* nie skuwały Ujejskiego na stałe z uprawianiem historii literatury polskiej, nawet nowatorskim, z którego wyraźnie wyrwał się na bliższy sobie grunt historii idei, a w okresie depresji po tragicznej śmierci syna-lotnika na nieprzetarty jeszcze szlak wędrówek po pisarstwie Conrada.

Sporządzony przez Ujejskiego z Lublina, z KUL-u. Julian Krzyżanowski, już po swym pobycie w Rydze i w Londynie (gdzie go zastąpił Wacław Borowy) sprawiał niezwykle wrażenie już samą powierzchownością: w okularach w złotej oprawie kroił na typowego nowoczesnego zachodniego uczonego, sceptycznego i ostrożnego, zażywną zaś gestyką, przeciwstawną temu chładowi, nieco przypominał rodzimego prowincjonalnego duszpasterza, kontentego z osiągniętej dożywotniej pozycji. Umiał przy tym zaciekawiać wręcz rozanimowywać uczestników zajęć uchodzącymi dotąd za arcynudne tematami staropolskimi dzięki wskazywaniu sensacyjnego nieraz obiegu motywów, powstawania i rozprzestrzeniania się stereotypów, siły powiązań dawnej literatury z plebejskim podglebkiem. Jednocześnie, z niespotykaną, niekiedy iście sowizralską dezynwolturą, manifestował postawę „nic świętego” – we wszystkich zapleśniałych polonistycznych metodach i w całej cnotliwej polonistyce. W tej swojej trzeźwości bulwersował, ale też bywał przyziemny w upatrywanych przez siebie wartościach i stosowanej skali literackich ocen, zwłaszcza na tle dwojga wcześniej wspomnianych, co szczególnie partnerka, przyznając mu ogromną pracowitość, dyskretnie ale czytelnie podkreślała, czasem słowem, zwykle zaś przez uwidaczniające się w dydaktycznych zajęciach i w publikowanych pracach różnice ogólnych horyzontów i poziomu analizy. Gdy po odejściu w 1936 r. prof. Ujejskiego na stanowisko podsekretarza stanu w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i po rychłym (w następnym roku) zgonie tego uczonego wynikała możliwość przejścia do Warszawy z Krakowa prof. Stanisława Pigonia, nieposzlakowanego elsa, wileńskiego spadkobiercy rektorskiego berła Skargi, charyzmatycznego i przy tym siermiężnie drapującego się stylisty – Krzyżanowski wolał mieć wokół siebie znakomitości duchowo młodsze, orientujące swą wrażliwość bliżej współczesności, jeśli niekoniecznie pod względem

tematyki studiów (tej różnorodność była dlań zaletą), to zawsze w sensie zbliżenia do przeważających myślowych potrzeb i coraz wtedy widoczniejszych oczekiwań dwudziestowiecznego odbiorcy: a więc Adamczewskiego, Borowego, Szweykowskiego.

W kształceniu poloniistycznym wydatnie wówczas uczestniczyli także Witold Doroszewski i Halina Koneczna, ale dla przyszłego historyka literatury jeszcze większe znaczenie miało uczęszczanie na wykłady Tadeusza Zielińskiego (w stosunku do lektury dzieł Ignacego Radlińskiego i Andrzeja Niemojewskiego prezentujące system wiedzy religioznawczej z pierwszej ręki), Stefana Czarnowskiego, wprowadzające w pioniersko uprawianą teorię kultury i równie nową jej socjologię, wglębianie się w pokłady europejskiej tradycji intelektualnej w zakresie filozofii i estetyki pod przewodnictwem Władysława Witwickiego i Władysława Tatarkiewicza, oraz w dzieje rodzimego społeczeństwa i kraju a także w refleksję historyczną na wykładach Henryka Mościckiego (prowadzącego też dla polonistów egzaminy z historii) i Marceliego Handelsmana. Biblioteki warszawskie, na czele z Uniwersytecką i Korbutianum, w 1934 r. przeniesionym z Pałacu Staszica do oficyny pałacyku Potockich przy Krakowskim Przedmieściu, nie sprawiały zawodu. Trwała też praca literacka – podtrzymywany kontakt z „Kuznią Młodych” oraz legitymowane poetycką twórczością (świadomie skazaną wkrótce na zapomnienie) i publikacjami członkostwo Klubu „S”. Nie ustawało samokształcenie: organizacyjna i naukowa działalność w Kole Polonistów, szczególnie w jego sekcji krytyki (opiekował się nią i kierował Ludwik Fryde, w skład zespołu wchodził A. Andrzejewski, F. Kaczmarski, K. Kuliczowska, Z. Libera, L. Sobierajski, J. A. Król, S. Lichański, Z. Skwarczyński – trzej ostatni, a wraz z nimi i Jan Śpiewak, znaleźli się po wojnie w redakcji wydawanego w Łodzi pod szefostwem Króla społeczno-literackiego tygodnika „Wieś”); udział w posiedzeniach Koła Filozofów Studentów UW (na których spotykało się profesorów Tadeusza Kotarbińskiego, Tatarkiewicza, Witwickiego, Czarnowskiego. Jana Stanisława Bystronia, ówczesnych docentów Marię i Stanisława Ossowskich, Henryka Elzenberga, Dinę Szejnberg czy Władysława Wąsika oraz takie interesujące osobowości jak Tadeusz Kroński, Bolesław Miciński, Mieczysław Choynowski, bądź postaci tak wtedy ideowo skoczne jak Alfred Łaszowski); w spotkaniach Klubu Literackiego i Naukowego.

W 1937 r. Zdzisław Skwarczyński ukończył studia, uzyskując

stopień magistra filologii polskiej. Za pracę o *Próchnie* Wacława Berenta otrzymał nagrodę wydziałową oraz, *ex aequo* z Józefem Kuroczyckim, nagrodę im. Leona Gallego, przyznawaną przez Kasę im. Mianowskiego. Został też młodszym asystentem przy Katedrze Historii Literatury Polskiej Uniwersytetu im. J. Piłsudskiego, mając za nieco starszych kolegów, zatrudnionych od roku, Tadeusza Mikulskiego i Ludwika Świderskiego – pierwszy z nich jako stypendysta Funduszu Kultury Narodowej wyjechał właśnie na dwa lata do Paryża, na następne dwuletnie tury tamtejszych studiów przewidywano wyjazdy po kolei Świderskiego i Skwarczyńskiego, który równocześnie z asystenturą podjął w Wydziale Oświaty Zarządu m. st. Warszawy pracę nauczyciela języka polskiego Miejskich Doksztalających Szkół Zawodowych.

Rok wybuchu wojny, 1939, przyniósł pierwszą i w ślad za nią dwie następne publikacje naukowe młodego badacza – recenzje na łamach ówczesnego „Życia Literackiego”, dwumiesięcznika redagowanego i wydawanego w Warszawie przez Juliusza Saloniego. Debiut związany był tematycznie z niedawną własną pracą magisterską, dotyczył monografii *Próchna*, świeżo ogłoszonej w Poznaniu przez Konstantego Troczyńskiego, następne recenzje – książek Pigionia i Konińskiego, poświęconych pisarzom ludowym. Artykuły te zwracały uwagę swą ustabilizowaną, dojrzałą skalą wartości, choć zaledwie towarzyszyły organizowaniu zasadniczego naukowego warsztatu: za sprawą kontaktów prof. Krzyżanowskiego Instytut Kultury Wsi, kierowany przez Józefa Chałasińskiego, zlecił Zdzisławowi Skwarczyńskiemu opracowanie tematu *Chłop w powieści polskiej 1776–1863*. Zebrane materiały i zredagowane już rozdziały tej pracy uległy unicestwieniu w 1939 r. Odtworzone w czasie okupacji, ponownie zostały zniszczone w 1944 r. Ocalała część stała się podstawą rozprawy doktorskiej i opublikowanej po wojnie książki *Chłop i sprawa chłopska w romansie stanisławowskim*, Łódź 1950. Wydarzenia wojny i trud okupacyjnego życia w ostatecznym rezultacie oderwały Zdzisława Skwarczyńskiego, inaczej niż wielu silniej wrośniętych w warszawski grunt polonistów, od tamtejszego akademickiego środowiska (poza którym wcześniej czy później znaleźli się jednak również Z. Szweykowski, S. Adamczewski, T. Mikulski, W. Borowy, K. Górski czy, spoza uniwersytetu, J. Saloni).

Pracował jako robotnik budowlany, nauczyciel w tajnym nauczaniu, urzędnik w SKSS-RGO w Warszawie. Czasy te przyniosły mu też zmianę sytuacji rodzinnej: 20 października 1942 r. zawarł związek

małżeński z pochodzącą z Łodzi Stanisławą Laszczykówną. Od upadku powstania do połowy stycznia 1945 r. Zdzisław Skwarczyński przebywał w Skierniewickiem, zajmując się oświatą.

Z chwilą wyzwolenia Warszawy i Łodzi wziął najpierw udział w akcji pruszkowskiej; następnie ściągnął do rodzinnego miasta, gdzie wkrótce urodziła mu się starsza córka, Ewa (młodsza, Joanna, przyszła na świat w 1949 r., a syn Henryk, w 1952 r.) i gdzie już 15 lutego 1945 r. podjął pracę w organizującym się uniwersytecie jako starszy asystent przy Katedrze Literatury Polskiej I, nowo utworzonej obok dwóch stanowiących dziedzictwo po przedwojennej Wolnej Wszechnicy Polskiej. Katedrą tą kierował profesor Stanisław Adamczewski, kierownictwo katedry po Adamczewskim objęła dojeżdżająca z Krakowa zast. profesora dr Janina Garbaczowska – do scalenia trzech katedr w jedną zespołową, w której Z. Skwarczyńskiemu przyszło współpracować z prof. Janem Dürrem-Durskim jako jej kierownikiem i prof. Stefanem Kawynem jako kierownikiem Zakładu Literatury XIX w. Jednocześnie zatrudnił się jako nauczyciel języka polskiego w XIX Państwowym Gimnazjum i Liceum w Łodzi. Szkołę średnią opuścił jednak we wrześniu 1947 r. w celu dokończenia rozprawy doktorskiej, na podstawie której uzyskał na Uniwersytecie Warszawskim w 1948 r. stopień doktora nauk humanistycznych (promotor: prof. dr J. Krzyżanowski, recenzenci: prof. dr W. Borowy i prof. dr S. Arnold).

Będąc zarazem lektorem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” i od 1 grudnia 1947 r. do 1 lipca 1949 r. członkiem wspomnianego już zespołu redakcyjnego „Wsi”, nie podjął propozycji przeniesienia się z nimi do Warszawy. Zdecydowały o tym i warunki bytowe, które w zniszczonej stolicy musiałyby być znacznie uciążliwsze dla młodej rodziny niż w ocalałej Łodzi i prędkie zrośnięcie się z nową uczelnią, tworzoną i kierowaną wówczas przez wielu przymusowych wtedy łodzian, z rektorami Tadeuszem Kotarbińskim (1945 – 1949) i Józefem Chałasińskim (1949 – 1952) na czele. Z tych samych względów wypadło Zdzisławowi Skwarczyńskiemu odstąpić od uzyskanego dlań przez prof. W. Borowego przeniesienia na Uniwersytet Warszawski.

W pewnym stopniu analogicznie powtórzyło się to po latach, gdy prof. Skwarczyński ostatecznie nie przyjął otrzymanej w 1972 r. nominacji na dyrektora Instytutu Badań Literackich PAN, choć oczywiście tym razem decydował inny zespół motywów, wśród których utrzymała się i rozrosła z pewnością do zasadniczego względu więź z Uniwersyte-

tem Łódzkim. Za jej oficjalne wyznaczniki uznać można pełnione kolejno przez Zdzisława Skwarczyńskiego stanowiska i funkcje: od 1 września 1949 r. adiunkta (na tym stanowisku Zdzisław Skwarczyński powrócił raz jeszcze do szkolnictwa średniego: przez siedem pierwszych miesięcy 1950 r. był dyrektorem ogólnopolskiego Korespondencyjnego Gimnazjum i Liceum Związku Młodzieży Polskiej – mieściło się ono przy Al. Kościuszki 45, a zostało utworzone z czterech podobnych szkół, m. in. zorganizowanej przez „Wici”, po unifikacji ruchu młodzieżowego; placówkę tę z następnym rokiem szkolnym przejęło Ministerstwo Oświaty), od 1 kwietnia 1952 r. – zastępcy profesora, od 25 września 1954 r. decyzją CKK – profesora nadzwyczajnego historii literatury polskiej, w roku akad. 1952/53 – prodziekana, a w latach 1953–1955 (za rektorstwa Jana Szczepańskiego) dziekana Wydziału Filologicznego; od roku akad. 1956/57 – kierownika Zakładu Literatury XIX w. w zespołowej Katedrze Literatury Polskiej, od 1 września 1968 r. – prorektora do spraw nauczania, od 1 września 1969 r. do 30 września 1972 r. – rektora UŁ, od 1 listopada 1969 r. – kierownika Katedry Literatury Polskiej, a od 1 września 1970 r. dyrektora założonego wtedy Instytutu Filologii Polskiej (do r. 1978) i kierownika – w tym Instytucie – Zakładu Literatury Nowożytnej, w którym zrodziła się myśl wydzielenia Pracowni Romantycznej i powierzenia jej kierownictwa doc. dr hab. Krystynie Poklewskiej, kierującej już wówczas Zakładem Literatury Współczesnej. Wraz z likwidacją IFP UŁ (1 listopada 1981 r.) zakłady te stały się więc: pierwszy – Katedrą Literatury Polskiej Oświecenia, Pozytywizmu i Młodej Polski, kierowaną przez prof. Z. Skwarczyńskiego aż do końca pełnienia przezeń obowiązków dydaktycznych w uczelni, drugi – Katedrą Literatury Romantycznej i Literatury Współczesnej. (Z inicjatywy prof. Skwarczyńskiego jako dyrektora IFP powstała w Instytucie Pracownia – obecny Zakład – Metodyki Nauczania Języka Polskiego i Literatury – wcześniejszy brak takiej placówki i odpowiedniego realizowania programu kształcenia studentów w tym zakresie był poważniejszym niedociągnięciem łódzkiej polonistyki.)

W trakcie pracy w UŁ prof. Skwarczyński był oczywiście członkiem i przewodniczącym wielu komisji wydziałowych i senackich. Pełnił funkcje redaktora trzech naukowych czasopism (prócz „Prac Polonistycznych” – „Sprawozdań z Czynności i Posiedzeń ŁTN” oraz serii filologicznej „Zeszytów Naukowych Uniwersytetu Łódzkiego”). Opie-

kował się przez szereg lat jako kurator Studenckim Kołem Polonistów. Nie będąc z usposobienia teatromanem inspirował niemało prac z zakresu historii teatru, a ponadto wyróżniał się wśród profesury łódzkiej jako najwierniejszy bodaj widz przedstawień i najuważniejszy obserwator rozwoju Studenckiego Teatru Satyry „Pstrąg” w ofensywnej fazie działalności tego zespołu, którego grupa kierownicza rekrutowała się w znacznej mierze z jego wychowanków. W latach 1958–1961 prof. Skwarczyński był członkiem Komisji Oświaty i Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, w 1963 r. został powołany do Komitetu Nauk o Literaturze PAN, przez szereg lat należał też do Rady Naukowej IBL PAN. w 1963 i 1964 r. korzystał z półrocznego stypendium badawczego w Paryżu. W 1968 r. uczestniczył w VI Międzynarodowym Kongresie Słowistów w Pradze. Uchwałą Rady Państwa z 25 listopada 1971 r. otrzymał tytuł naukowy profesora zwyczajnego nauk humanistycznych.

Przypomniany tu – pobieżnie przecież – bieg życia i pracy wydaje się nieodzowną podstawą dla uzewnętrznienia refleksji docelowo najważniejszej: nad rodzajem indywidualności uczonego oraz nad charakterem jego osobowości twórczej. I w tym jednak postępowaniu – utrudnionym zmienną grą dystansów – wartości powinny dać się szeregować w kilku planach: związków z mistrzami młodości, swoistych cech badacza oraz rezultatów jego własnego z kolei oddziaływania społecznego.

Przeświadczenie o dziedziczonych walorach może być zawsze rzecz jasna mylną sugestią. Kojarzą się jednak natrętnie pewne zbieżności postaw, zwraca uwagę kontynuacja niektórych zainteresowań, zarazem uwypuklają się różnice. Gdy prof. Skwarczyński wygłosił pierwsze swoje inauguracyjne przemówienie rektorskie, z kręgu uczniów Tadeusza Kotarbińskiego padło określenie, że po raz pierwszy od bardzo dawna usłyszeli na ogólnym forum uczelni słowa, z którymi mogą identyfikować swoje osobiste oceny. Zważywszy moment, w jakim ta deklaracja padła, było to bardzo wiele. Zwłaszcza, że nie zabrakło wkrótce oświadczeń lekkomyślnie niesłusznych. I niezależność etyczna więc i prakseologia codziennych działań to dwie linie przyciągania się. Ale były i linie odpychania: historyk literatury nie ufał ani akcentom heroistycznym, nawet gdy były przez moralistę wyważone, ani minimalizmowi poznawczemu (także reizmu), ani zminimalizowaniu roli formy literackiej, które w użytkowym i użytecznym uprawianiu wierszowanej



aforystyki nie odstraszało autora *Wesołych smutków*. Raczej więc nie zonglując myślą, młodszy uczoney wytrwale kierował ją ku socjologicznie rodowodowemu rozpoznawaniu formacji i zjawisk swego obszaru badawczego, w czym wyrażała się może bliskość wobec Czarnowskiego i Chałasińskiego. Na tym gruncie oscylacja ku historii idei, a w ogólnej postawie obiektywizm i niechęć do aprioryzmu, jaki wdarł się do kilku metodologii propagowanych przez niektórych rówieśników, każą pamiętać o wczesnym patronacie Ujejskiego, życzliwe ale i trzeźwe wczuwanie się w wysiłek innych, gdy tylko objawia on autentyczność, a we własnej ekspresji powściągliwość i nieraz przewrotnie dyskretny sarkazm przywodzą myśl o szkole nauczycielki szczególnie ciepło wspominanej, Zofii Szmydtowej; krytycyzm, posuwający się nieraz do bezpardonowej konfliktowości, wywodziłby się może wprost od Krzyżanowskiego (z pasji tego wszechstronnego uczonego wychowanek podtrzymał i przeniósł na nowe pola obserwacyjne dogłębne zaciekawienie rozwojem powieści, meliką folklorystyczną i ludowym pisarstwem), gdyby nie był straceńczy i miarkował się niekiedy przytomnym rachunkiem korzyści; barwa przekonań wyniesionych z domu rodzinnego i utrwalonych w młodości, również kontaktami z OM TUR i „Wici”, pozwoliła szczególnie dobrze zaobserwować jeszcze przed wojną nonkonformizm ideowy Stanisława Adamczewskiego, już wtedy uwikłanego w środowiskowe nieporozumienie (afery PIST-u), a w latach powojennych perypetie, jakim podlegał ten badacz i skutek materialnego niedostatku, i skutek wręcz okrutnych szykan ze strony najmłodszych wtedy, a już bardzo nierozważnych polonistycznych „ciotek rewolucji” (na badawczym planie po trosze spłotła obu uwaga dla modernistycznej prozy i bajki oświeceniowej); kilkakrotne specjalne zbliżenia z Borowym (KLiN, Pruszków, doktorat, próba odzyskania pracownika dla UW) miały też zapewne podstawę w niektórych intelektualnych powinowactwach: umiejętności nieoczekiwanego ujmowania spraw literatury od stron wcześniej pomijanych, przepajania samych wywodów ożywym humorem a także dostrzegania humoru jako nadrzędnej cechy rodzajowej w niektórych odmianach pisarstwa – np. w sternizmie i w jego kompozycyjnych implikacjach, co na polskim gruncie u Mickiewicza i Fredry przeanalizował jako pierwszy właśnie Borowy, torując drogę Wyce, Skwarczyńskiemu (który nurt ten przywoływał kilkakrotnie i przeszedł dość szeroko od Franciszka Salezego

Jezierskiego po twórczość Stanisława Dygata) oraz młodszym badaczom.

Przedstawiona powyżej charakterystyka wstępna życia i pracy Profesora jest zaledwie tłem obrazu, na którym powinna się jeszcze pojawić jego osoba, ukazana przez myśl książek i artykułów, jakie napisał i ogłosił, przez kręgi tematyczne, jakie ten zbiór publikacji wyznacza i jakie z reguły otrzymały kontynuację w inspirowanych przez Profesora badawczych poczynaniach zespołowych i indywidualnych w obrębie dużego grona jego współpracowników: ponad dwudziestu doktorów i habilitantów, wielu spośród trzystuosobowej grupy magistrów oraz licznych specjalistów dyscyplin pokrewnych, którzy zazwyczaj chętnie też się w tym gronie pojawiali i dobrze w nim się czuli.

Dopiero taki obraz byłby pełnym wizerunkiem. Żeby nie został chybiony, wymaga przygotowań starannych i dłuższych. Zarysowanie niniejszego tła niech będzie ich pierwszym etapem.